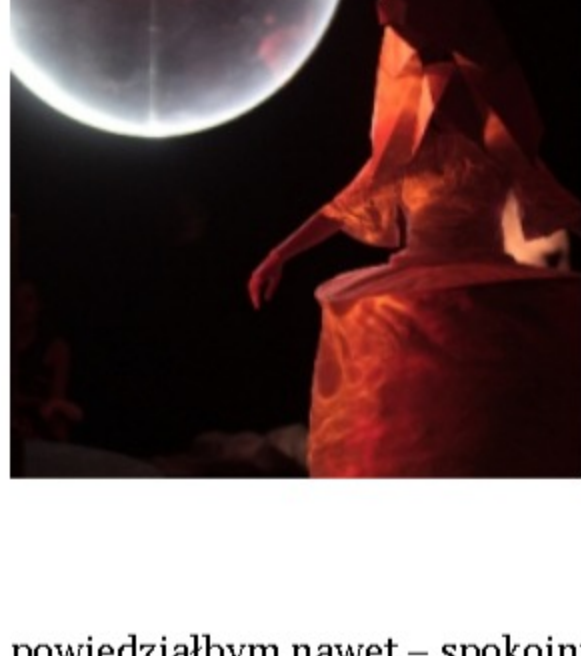


„Wyleczony”

**HENRYK MAZURKIEWICZ** Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu [Lubię to!](#) [A A A](#)**Walbrzyskiego *Sachema* zrealizowano w ramach Konkursu na Inscenizację Dawnych Dzieł Literatury Polskiej „Klasyka Żywa”.**

Szczerze mówiąc, oficjalna wzmianka o tym przed samym spektaklem zabrzmiała nieco stygmatyzująco. Po głowie zaczęła skakać wredna myśl: „zaraz zacząną kombinować”. Prowokować, uwspółcześniać, komentować. I tak się stało. Aż dziw, ile udało się namieszać w przedstawieniu trwającym ciut ponad godzinę. Jednak nie mniej dziwne jest to, że mimo tego ciągłego kombinowania i prób mnożenia kontekstów spektakl okazał się jakiś nazbyt grzeczny,

powiedziałbym nawet – spokojny. Nie chodzi mi o emocje, z tym było różnie, lecz o sam przekaz i sposób pracy z oryginalnym tekstem. Ale po kolei...

Antylopa to małe, lecz prężnie rozwijające się miasto w sławnym stanie Teksas. Wcześniej było tu pusto. No, może nie całkiem pusto, bo stała tu indiańska osada Chiavatta – stolica plemienia Czarnych Węży. Lecz „odważnym” osadnikom z dalekich Niemiec nie robiło to różnicy. Byli nawet nieco zdziwieni, gdy „głupi” Indianie nie zechcieli po dobroci opuszczać zamieszkałych od setek lat terenów. Nie porzucili swoich wigwamów i nie zaczęli razem z „cywilizowanymi białymi” budować domów, magazynów, kościołów, barów i co tam jeszcze trzeba, żeby Niemiec mógł poczuć się jak w rodzinnej Bawarii. Otóż nie. Mieszkańcy Chiavatty byli nieugięci. Z tego powodu zostali wymordowani. Za pomocą ognia i w czarną noc. Z niemiecką starannością. Jak reasumuje Henryk Sienkiewicz: „Tryumf dobrej sprawy był zupełny”. Następnie z gorzką ironią dodaje: „Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Węzów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót potrzebnych ucivilizowanemu społeczeństwu”.

Twórcy przedstawienia, mając na względzie tę historię i dając jej później wybrzmieć, od samego początku zaczynają mnożyć możliwe konteksty. Przepraszam, mówię „twórcy”, a przecież należałoby powiedzieć – twórczynie. *Sachem* w Teatrze Lalki i Aktora w Walbrzychu to dzieło Martyny Majewskiej (adaptacja i reżyseria) oraz Anny Haudek (scenografia, kostiumy i lalki). W pierwszych chwilach spektaklu widzimy, jak na scenę wchodzi elegancko ubrani Sylwia Nowak i Jakub Grzybek. Przed nami ceremonia rozdania Oscarów z 1973 roku. Liv Ullmann i Roger Moore mają wręczyć złotą statuetkę Marlonowi Brando. Jak wiadomo, słynny aktor odmówił przyjęcia nagrody. Zamiast niego na scenie pojawiła się piękna młoda Indianka Sachem Male Piórko. Wyszła, żeby wystąpić przeciwko dyskryminacji Indian. Przeciwno ich fałszywemu przedstawianiu w tych niezliczonych westernach, które uwielbiał ówczesny Hollywood. Prawdziwa Sachem, do bólu szczera, cienkim, melodijnym głosem próbowała przebić się przez huczną mieszaninę oklasków i niezadowolonych okrzyków. W Walbrzychu grająca ją Anna Jezierska trzymała się znacznie pewniej. Jej oczy błyszczały, a spojrzenie spokojnie przemierzało całą widownię. Miała za swoimi plecami całe plemię, które w każdej chwili gotowe było przyjść jej na pomoc.

Pierwszą część spektaklu nazwałbym częścią „plemienną”. Rozpoczyna się od tajemniczego rytuału. Pośrodku sceny stoi coś, co przypomina pień olbrzymiego drzewa. Nad głowami wisi żółte słońce w postaci okrągłej blachy. Minimalistyczna scenografia zdradza cechy miejsca szczególnego, sakralnego i pełnego duchów przodków. Tu mężczyźni, wróciwszy z łowów, przyniesli ciało zabitego bizona. Zwierzęcia, z którym związane są losy całego narodu. Tusza zostaje rozczęta. Kobiety zaczynają wyjmować z niej poszczególne organy. Wygląda na to, że są ze złota. Złote serce, złote nerki, płuca. Każdy ze „skarbów” jest starannie zawieszany na długim metalowym drucie. W finale rytuału wnętrzości bizona unoszą się pod sufit.

Po dokonaniu podobnej „inwentaryzacji”, w której więcej jest z religijnego zachwytu niż racjonalizatorskiego, „technicznego” podejścia białego człowieka, przychodzi czas na pieśni i legendy. Wystarczyło, żeby wódz (Seweryn Mroźkiewicz) zaczął swoją przypowieść, a całe plemię puszcza się w płas. Nikt nie może usiedzieć w spokoju. Nawiedzeni przez duchy łączą się w pary, rozchodzą się, tańczą. Każdy ma swoją skomplikowaną choreografię. Również słowa nie są tu jeszcze pozbawione swej pierwotnej magii. Dlatego historia ożywa, nabiera sił i zaczyna jak gdyby sama siebie opowiadać, wykorzystując głosy poszczególnych osób. I używając ich ciał. Wielka zasługa w tym świetnej muzyki Dawida Majewskiego, który na potrzeby spektaklu zmiksował etniczne motywy z takimi współczesnymi nurtami, jak *deep house* czy *nu-disco*.

W taki sposób powoli zostajemy wtajemniczeni w kronikę Ducha Manitou, który postanowił stworzyć człowieka, pana nad wszystkimi stworzeniami. Udaje mu się to dopiero za trzecim podejściem, bowiem ani „biały” człowiek, ani człowiek „czarny” nie spełnili oczekiwań Wielkiego Ducha. Zostaną wypędzeni „za morze”, żeby pewnego dnia powrócić. Rzecz jasna, dla Indian nic dobrego z tego powrotu nie wyniknie.

Żeby to pokazać, przedstawienie całkowicie zmienia perspektywę. Zachowując konwencję teatru w teatrze, aktorzy powoli przebiegają się w głębi przyciemnionej sceny. Słyszymy, jak przypominają tekst, robią próby głosu. W pewnym momencie przygotowania nagle się urywają. Trafiamy do piwiarni „Pod Złotym Słońcem”. Tylko że tym razem zamiast słońca mamy wielki, iskrzący się żyrandol.

Sienkiewicz nie oszczędził mieszkańcom Antylopy barwnych opisów: „Patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, można by mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub Monachium, nie zaś na zgłiszczach Chiavatty”. Lecz w wersji Majewskiej wśród zebranych więcej jest dziecięcej naiwności, dość okrutnej w swojej prostocie, lecz pozbawionej głębszej, choćby i białej refleksji. Szczególne zabawnie wypadł Jakub Grzybek. W krótkich spodenkach i białym golfie przypomina małego bawarskiego chłopca. W rzeczy samej, zaczyna bawić się na scenie w kolej żelazną. Inni wybrali sobie zabawę, którą nie tak dawno szeroko rozreklamował w *Bekartach wojny* Tarantino. Chodzi o zgadywanie zapisanej na karteczce postaci. Hernán Cortés, Kolumb, Pocaontas... Historia podboju Nowego Świata w pigułce. Gorzka historia, pełna zdrad, nienawiści i okrucieństwa.

Jak tylko gra dobiega końca, następuje kolejna zmiana konwencji. Przenosimy się do cyrku, który, jak wiadomo, do łada mieściny nie przyjeżdża. Przed chwilą ekscentryczny i samolubny dyrektor (Paweł Pawlik) zapowiedział występ Czerwonego Sępa, ostatniego ocalonego przedstawiciela Czarnych Węzów, którego jako dziesięcioletniego chłopca znalazł na ulicy, Sachem, czyli wódz wykona spacer na drucie zawieszonym piętnaście stóp nad ziemią, a na dodatek przedstawi taniec i pieśń śmierci. Całe towarzystwo jest podekscytowane. Co może być lepszą atrakcją niż widok jednego z tych, których „w pień wyróżniłmy przed laty piętnastu”?

Zbigniew Koźmiński ostrożnie wkrada się na scenę, niosąc przed sobą ogromny pióropusz. Jak uprzedzał dyrektor, dzisiejszym wieczorem jest szczególnie rozwścieczony. Zaczyna swoją żalobną pieśń, w której powoli każde słowo staje się oskarżeniem rzuconym prosto w twarz wszystkim mieszkańcom Antylopy. Pieśń kończy się słowami: „I oto nie ma Chiavatty, bo na jej miejsce biali wnieśli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę”. Tak, zemsta! Krew za krew! Wydaje się, że za chwilę wściekły Sachem rzuci się na widzów. Rozerwie ich na kawałki.

Lecz cóż się dzieje!? Światło na chwilę gaśnie. A kiedy powraca, zamiast rozwścieczonego wojownika przed nami stoi samolubny aktor, który z wielką zachłannością kłania się, macha i posyła całusy. Nam, a w domyśle tym, którzy wymordowali całe jego plemię!? U Sienkiewicza wódz wychodzi z blaszaną miską i błagalnym głosem mówi po niemiecku: „Co łaska dla ostatniego z Czarnych Węzów”. Zbigniew Koźmiński, niczym uliczny artysta, wykorzystuje do tego uroczy melonik. Wściekły wódz został „wyleczony” ze swojej agresji i nienawiści. Tak samo jak Alex z *Mechanicznej pomarańczy* czy McMurphy z *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Nie wiemy tylko, w jaki sposób dokonała się podobna przemiana. Co mu wstrzykiwano zamiast „płynu Ludovica”? Jakiego rodzaju lobotomii musiał przeżyć? Jedno jest pewne – i tym razem „tryumf dobrej sprawy był zupełny”.

Mimo licznych pomysłów formalnych w spektaklu zabrakło nieco tych interpretacyjnych. Od razu widać, że twórcy nie mieli zamiaru szokować, bawić się kiczem, wkładać kija w środowiskowe mrowisko czy wyjść na zacieklej obrazoburców. Zastanawiam się jednak, czy nie warto było zaryzykować kilku nieco radykalniejszych rozwiązań? Przekazywanie e-papierosa zamiast fajki pokoju czy użycie dziwnych, odwołujących się do grafiki wektorowej masek trudno za takie uznać. Nie chodzi mi o to, żeby zamiast Sachema na arenę cyrku wyszedł Batman czy SpongeBob Kanciastoporty. Nie trzeba też obowiązkowo przenosić akcji opowiadania do współczesnej Polski, nie mówiąc już o wykorzystaniu tych nieszczyśnych multimedii. Chodzi raczej o to, żeby widzowie podczas spektaklu nie czuli się zbyt bezpieczni. Tak samo jak mieszkańcy Antylopy podczas występu rozwścieczonego wodza.

Czy istnieją jeszcze inne współczesne „sposoby” na pozytywistyczną klasykę? Wątpię, czy dosłowne odczytywanie w ogóle jeszcze jest możliwe. Nie te czasy, chociaż w większości bardzo podobne problemy. Za oknem mamy szaloną i zblazowaną nowoczesność, która ma za sobą dwie światowe wojny i niezliczoną ilość innych porażek. Takie słowa jak „postęp”, „edukacja” czy nawet „bieda” zdążyły kilkakrotnie zmienić swoje znaczenie. Nawet w nauce pozytywistyczne podejście musiało szybko skapitulować wobec znacznie ostrożniejszego i mniej fundamentalnego falsyfikacjonizmu. Wygląda więc na to, że bez kombinowania już się nie obejdziemy. Pozostaje bez końca na nowo ustalać, komu i dlaczego obecnie wypadła rola Sachema.

18-05-2015

Teatr Lalki i Aktora w Walbrzychu
Sachem. Wódz Czarnych Węży
wg Henryka Sienkiewicza
adaptacja i reżyseria: Martyna Majewska
scenografia, kostiumy i lalki: Anna Haudek
muzyka: Dawid Majewski
obsada: Zbigniew Koźmiński, Anna Jezierska, Sylwia Nowak, Bożena Oleszkiewicz, Urszula Raczkowska, Natalia Wiediech, Jakub Grzybek, Seweryn Mroźkiewicz, Paweł Pawlik
premiera: 28.02.2015

TAGI: Martyna Majewska, Anna Haudek, Dawid Majewski, Henryka Sienkiewicza, Walbrzych, Teatr Lalki i Aktora,

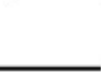
[Udostępnij](#)[Lubię to!](#)

SKOMENTUJ

Author

lub zaloguj się

Treść komentarza

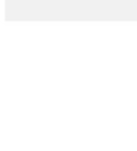
Abby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:siedem minus cztery jako liczbę: 

KOMENTARZE (2)

 | 2015-03-21 21:26:40 [Cytuj](#)

Osobiście bardzo dziękuję za wnikliwą, rzetelną recenzję. Bardzo się cieszę z wielu zwartych detali interpretacyjnych, z tych jak rozpoznanie ”cytatu” z Tarantino czy porównanie naszej Sachem z oryginalną postacią. Śmiało można było pisać ”twórcy” zamiast ”twórczynie”, gdyż akurat w przypadku tego projektu cały zespół, wliczając aktorów i kompozytora, pracowali na zasadach współ-kreacji. I krótki komentarz na temat ”spokoju” i ”grzeczności” spektaklu: Docelową publicznością ”Sachema” jest publiczność gimnazjalna. Na bazie swojego krótkiego doświadczenia reżyserskiego, uważam ją za najtrudniejszą. Zawieszoną gdzieś pomiędzy botem zbyt dojrzłą na klasyczny teatr lalek dla najmłodszych a zupełnie nie gotową na wymagający, przesycony kontekstami teatr ”dramatyczny”. Jest to publiczność bardzo gorliwa, bardzo wymagająca i jednocześnie dysponująca bardzo ”pierwszym” czy lepiej wczesnym zestawem lektur/kontekstów/odniesień interpretacyjnych. Dlatego naszym najważniejszym celem było nie zrobić spektaklu przeintelektualizowanego. Rozumiem, że wytrawnemu widzowi teatralnemu może brakować w naszym obrazie szoku, kiczu, poczucia dyskomfortu. A te cecha ”Sachema” przedstawiona jest w recenzji jako zdecydowany minus. A może nie do końca? Może dobrze, żeby widź, który ostatnim razem w teatrze był wraz z przedszkolem, a dziś przychodzi jako gimnazjalista, dostał coś, co mu się zwyczajnie spodoba. Coś, co powstało specjalnie dla niego, muzycznie, wizualnie i będzie ”dostępne” interpretacyjnie, nawet jeśli stanie się to kosztem nudności i bezpieczeństwa widów ”żądnym intelektualnej krwi”. Jako reżyserka, od samego początku bardzo staram się szanować mojego docelowego widza, rozpoznawać jego potrzeby – jego gust. Mój dyplom był spektaklem dla tzw.”naj-najów”, który jest ostatnimi czasami w teatrze zjawiskiem zupełnie osobnym. ”Sachem” oznaczony jest liczbą 13+ i staraliśmy się żeby nie był to dopisek bez znaczenia. Proszę uwierzyć, że gimnazjaliści raz, że spektakl jest ”zajebisty”. ”Działam nam po spektaklu gimnazjalista Aleksander...

(<http://www.martynamajewska.pl/2015/03/pierwsze-recenzje-spektaku-sachem-wodz.html>) Jak tylko dostaniemy jako zespół szansę zrobić coś dla jakiegoś Wielkiego Zblazowanego Miasta;) obiecuje szk, dyskomfort, kicz, intelektualną prowokację i skandal... Czasami mam wrażenie, że są to zjawiska łatwiejsze do osiągnięcia we współczesnym teatrze niż taki nasz ”wyleczony” Sienkiewicz. Pozdrawiam i jeszcze raz dziękuję za dziennikarską rzetelność. Martyna

 **Kurt** | 2015-03-19 10:40:35 [Cytuj](#)

+++++!!!!